

REJESTR DOTYCZY:

CZARNYSZEWICZ Florian

s/c i

z d.

[2.07.1900] [1895] w

kraj:

+ 18 sierpnia 1964 w Villa Carlos Paz

kraj: ARGENTYNA

pochowany: miejsc. cmentarz

nr grobu:

K4663

Nr rejestracyjny

297 / 64

Nota zamieszczona:

w tomie
czesci pierwsza

Indeks

PISARZE, LITERACI

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.:

znak rozpoznawczy

Uwagi:

pozostawił żonę i córkę

Nota:

Przypisy:

438-A

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

Kurier Polski, Bs.As. sierp. 1964

29/ .VIII.64/

Bibliography of Books in Polish or Relating to Poland t. III 591,592, II 589, I 605

149/I-poz.605,

II-589, III-591,592.

Kurier Polski, Bs.As. 8.6.67 - "Pomnik grobowy Floriana Czarnyszewicza

29/8.VI.67/

Tydzien Polski 22.6.65 - "Czarnyszewicz żywy"
Janina Surynowa-Wyczółkowska

47/22.VI.68/

Literatura Polska na Obczyźnie t.I. XXXIX

XXXIX/XXXIX.68/

XXXIX/XXXIX.68/

XXXIX/XXXIX.68/

111/I-XXXIX.s.138,

159,165,375,380,

382,569/

Pamiętnik Wilenski s.255-259,262-267/

288/255-259,262-267/

UMARŁ FLORIAN CZARNYSZEWICZ

Jeszcze rozbrzmiewały w "La Docta" radosne echa sukcesu Obchodu Rocznic Wojskowych gdy wśród miejscowej Polonii rozeszła się żałobna wieść: Florian Czarnyszewicz nie żyje.

W malowniczej górskiej miejscowości Carlos Paz gdzie nad samym brzegiem jeziora San Roque, w schludnym domku otoczonym polskimi brzozaami i argentyńskimi cyprysami spędzał lata zasłużonego odpoczynku po trudach wyjątkowo ciężkiego życia robotnika chłodni, zamknął na zawsze swe zmęczone oczy we wtorek, 18 sierpnia b. r. o godz. 9-tej autor "Nadberezyńców", "Wicika Żywicy", "Łosów Pasierbów" i "Chłopców z Nowoszysek", której świeży sukces łagodził cierpienia fizyczne Autora w Jego wielomiesięcznej walce z nieubłaganą chorobą.

Dzięki inicjatywie Księdza Rektora Łuszczki, który nie zdążył jeszcze wyjechać do Euenos Aires, Florian Czarnyszewicz miał pogrzeb piękny i okazały. Z domu żałoby odprowadzono zwłoki do miejscowego kościoła parafialnego w Carlos Paz gdzie ks. Łuszczki odprawił w środę po południu nabożeństwo żałobne i egzekwie, po których przemówił od ołtarza uwypuklając zasługi Czarnyszewicza — pisarza i dobrego Polaka. Z kościoła odprowadzono trumnę na miejscowy cmentarz gdzie przemawiali pp. Włodarczyk (imieniem Związku Pol. w Córdoba), dr Z. Gałaczyński (imieniem "Kuriera Polskiego") i T. Zarzycki (imieniem znajomych i przyjaciół).

Redakcja naszego pisma którego Zmarły był współpracownikiem i Przyjacielem składa Wdowie i Córce Pisarza wyrazy szczerego współczucia.

K.P.
Bs. As.
8.6.
1967

Pomnik grobowy Floriana Czarnyszewicza

W pięknej miejscowości górskiej Villa Carlos Paz odbyła się w dniu 25 maja b. r. skromna uroczystość poświęcenia i odsłonięcia pomnika grobowego na mogile śp. Floriana Czarnyszewicza, który ostatnie lata swego pracowitego życia spędził nad uroczym jeziorem San Roque gdzie zmarł 18 sierpnia 1964 r. Na uroczystość przybył z Buenos Aires Rektor Misji Katolickiej ks. Łuszczki, który odprawił nabożeństwo w miejscowym kościele parafialnym i w przemówieniu wygłoszonym od ołtarza nakreślił sylwetkę duchową pisarza. Nabożeństwo uświetnił grą na wiolonczeli prof. Doliński z Cosquin. Zgromadziła się w kościele spora grupa miejscowych Polaków oraz delegacja ze Związku Polskiego w Cordobie ze sztandarem i z prezesem Z. Fudalejem na czele. Zła pogoda uniemożliwiła zjazd Polaków z okolicy.

Po nabożeństwie zebrani udali się na miejscowy cmentarz, gdzie odsłonięcia pomnika dokonali prezes honorowy Zw. Polaków, przybyły specjalnie na tę uroczystość, prof. St. Pyzik i prezes Związku kordobiańskiego, Fudalej. Przemówienia nad grobem wygłosili p. Pyzik imieniem Związku Polaków i przyjaciół-społeczników oraz inż. Hanka imieniem miejscowej Polonii.

Pomnik grobowy wykonany z czarnego marmuru ufundowany został z dobrowolnych składek zainicjowanych przez Tow. Polskie w Berisso, gdzie Zmarły spędził większość swego życia, którego treść tak dobitnie streszcza napis na kamieniu grobowym: "Florian Czarnyszewicz — Soldado-Obrero-Patriota-Escritor".

Podczas uroczystości odczytano również fragment serdecznego listu Marii Czapskiej, która od lat zajmuje się twórczością i osobowością Floriana Czarnyszewicza.

Czarnyszewicz żywy

Janina Surynowa-Wyczółkowska

Rok był 1942. Stara emigracja, przedwojenna, w Buenos Aires nie poddawała się rozpacz. Założyła „Circulo Argentino Polonia Libre” z konsulem Mazurkiewiczem na czele. Współpracowali w instytucji: profesor Radecki i pan Czyżewski, robotnik. Sekretarką była pani Stribna.

To oni zaakceptowali do druku powieść „Nadbereżyńcy” Floriana Czarnyszewicza, niezrażeni ogromnie ciężkim rękopisem, ani brakiem wykształcenia autora. To oni w owych najtragiczniejszych chwilach najazdu hitlerowskiego — umieli na powalonym pniu kultury polskiej odnaleźć świeże pędy tryskającego talentu.

Profesor Radecki napisał do tej pięknej książki przedmowę, podkreślając „dzwonną mowę”, potęgę, bogactwo i barwność wspomnień-dokumentów, oraz skromność autora w przesunięciu własnej osoby na dalszy plan.

„Codzienny Kurier Polski” wydawany wówczas przez Polonię w Buenos Aires, ogłosił entuzjastyczną recenzję pióra redaktora Iphorskiego-Lenkiewicza. I to jej autor był odkrywcą Czarnyszewicza, a nie Pawlikowski, którego recenzja w piśmie „Lwów i Wilno” ukazała się dopiero w pięć lat później, w roku 1953.

Czarnyszewicz pisał „Nadbereżyńców” pracując jako robotnik we „frigorifico”, t.j. w chłodni. Był to wielki talent samorodny, jak Morcinka, Młodożeńca, Burka, Piaseckiego, czy naszego wielkiego Reymonta.

A więc tam, w hotelu „Madrid” na avenida 25 de Mayo zapadł wyrok, że „Nadbereżyńcy” ukażą się w druku.

Książka długo nie dawała znać o sobie. Czasy nie były po temu. Dużo później, w przedmowach do dalszych tomów: do „Wicika Żywicy” i do „Losów pasierbów”, w przedmowach do tych książek Melchior Wańkowicz i Józef Czapski nawracali ku „Nadbereżyńcom”, ku zawartym w tej książce problemom. Nawracali do tej „wielkiej książki”, stojącej bezspornie wyżej od dwóch następnych.

„Nadbereżyńcy” — to słodycz i gorycz wspomnień Czarnyszewicza, człowieka zbuntowanego w trosce o współzycie Polaków z Białorusinami. Może nie tyle o współzycie narodowościowe, co socjalne. Przemawia przez niego „pasierb Polski”.

Nie zdaje mi się, aby Wańkowicz miał rację, mówiąc o skromności Czarnyszewicza. Wprost przeciwnie. W Czarnyszewiczu siedział szlachcic zagrodowy, dumny z klejnotu, chociaż język i obyczaj miał chłopski, białoruski, prasłowiański. Szlachcic całą duszą przywarł do polskości i zrażony do polskich hrabiów — Lubuskich; do drobnej szlachty — Iwińskich i do biurokratycznych Sukindorfów, trzymających stronę obszarników. (Nazwiska bohaterów jego powieści)

Nie zapominajmy, że Czarnyszewicz siedział z ludem roboczym,

Wańkowiczowi odwrót przyszedł łatwo. Wszystko stracił. Niczym nie ryzykował pisząc szlachetną przedmowę do względnie słabej książki „Wicik Żywica”. Jakże ton tej przedmowy odmienny jest od „Szczenięcych lat”.

Porównajmy chociażby dwie cytaty:

„Za moich czasów zależność była wielka. Chłop ją widział, ale traktował jak naturalny układ świata. W XX wieku ustrój ten we krwi obu stron zakorzeniony był głęboko. Za prawo wypasu określona liczba dni roboczych i jajka”.

I to na wesoło, patriarchalnie, szczerze. A w przedmowie do książki Czarnyszewicza na odwyrót:

„Polska inicjatywa w 38 powiatach od Dżisny po Horyń zawiązała t.z. Rady Ludowe. Z jaką nadzieją i niewiarą wchodziły do tych rad elementy białoruskie i ukraińskie”.

A dalej:

„Polacy po 1920 pozostali — nie mieli słów dla oddania tej ilości poświęcenia i samoofiary, jaką złożyli nasi białoruscy współobywatele”.

Gdzie prawda, a gdzie klamstwo? Znamy przecież wszystkie opis grabieży dworu Wańkowiczów przez ludność, której dwór służył opieką najserdeczniejszą.

Ale Wańkowiczowi te wspomnienia nie były na rękę, więc tylko dalej o tej przyjaźni z poetą białoruskim Michasiem Maszarą i o tym przekradaniu się do „Hromady” zarosłymi ścieżkami. Rozmawiałam na ten temat z Czarnyszewiczem.

„Rady Ludowe” założone były przez Polaków w 1920 roku, za późno — budziły niewiarę w elementach białoruskich. Budziły niewiarę w Czarnyszewiczu do końca jego życia. Więc bunt. Bo „bunt szlachcie nie nowość” — pisał.

Inaczej ustosunkował się Czarnyszewicz w rozmowach ze mną do przedmowy Czapskiego. Czapskiemu ufał. Miał instynkt niezawodny w stosunkach z ludźmi. Cenił sobie Czapskiego pochwały: „Dar oddania charakterów, przyrody, wymowy uczuć”. Mówił o tym szlacheckim „zadufaniu wobec świata nowych idei”. Powtarzał to za Czapskim. Zresztą „Losy pasierbów” nie budziły tych spornych kwestii, co dwie poprzednie książki. W „Nadbereżyńcach” i „Wiciku Żywicy” Czarnyszewicz jako Białorusin czuł się obywatelem drugiej klasy, pasierbem Polski, który z chęcią naiwnego patosu tylokrrotnie chciał w swoich książkach za tę Polskę umrzeć. W „Losach pasierbów” Czarnyszewicz, przywarł do polskości, chętnie powtarzał frazes: „Kab taja kochan naja Polscza wiernulasia, tak myb jaje rozcałowali”.

(Ach, jaka muzyka była w języku pana Floriana, jaka śpiewność).

rzeźni w Berisso, we „frigorifico”, tęsknił za Białorusią. Mała rzeczka pod Berisso przypominała mu Berezynę, a zgniłe liście niosły zapach tamtej ziemi. Więc kiedy los mu pozwolił korzystać ze szczupłej emeryturki — wyjechał daleko od stolicy i pobudował się nad wodą za te honoraria autorskie, co mu zapłacił za „Nadbereżyńców” i za „Wicika Żywicę”.

Pisał do mnie:

„Dosadzam brakujące drzewka i szukuję pod przyszłe zasiewy teren. Mam tyle zajęć, że nie zawsze mam czas na czytanie czasopism. Prawie nigdzie nie wychodzę. Zawsze w domu i ogrodzie”.

Pochodził z ziemi i na tej ziemi lubił pracować w zapachach skoszonego siana, nastuchując recho-tu żab. Kiedy pierwszy raz odwiedziłam Czarnyszewicza — kosił. Jakże pachniała ta skoszona trawa po polsku. I bardzo po polsku recho-tały żaby.

A pani Stasia na białym obrusiku zastawiła miód i serek biały, i małosolne ogórki, i truskawki, bo „miło jest spotkać polskich ludzi i ugościć”.

Biurko pana Floriana, przy którym napisał „Losy pasierbów” a potem „Chłopców z Nowoszy-szek”, stało pod samym oknem. Widok z tego okna miał piękny na sąsiednie wzgórza, nocą rozbłysły światłami domów; na błękitne jezioro, nocą drżące od gwiazd w nim odbitych; na kwiaty ogrodu.

O tym widoku tak mi pan Florian pisał w liście:

„Z okna domu piękny widok, ale głowa zawsze w kłopotach, a serce w smutku. Uciekam od niego snuciem nowej rzeczy. Nie prędko ją ukończę, a już mnie martwi kłopot szukania przyszłego wydawcy”. (Mowa tu jest o „Prymie”, którego tytuł zmienił dyrektor Sakowski na „Chłopców z Nowoszy-szek”). Przewidywania się sprawdziły, bo dobra pani Maria Czapka długo szukała wydawcy dla tej książki, zanim Polska Fundacja Kulturalna nie zechciała jej wydać tak estetycznie.

Sprawy wydawnicze, recenzje, twórczość — to był jego świat, do którego uciekał od życia pełnego kłopotów i ludzkiego niezrozumienia. Pamiętam, jak się cieszył, kiedy mu doniosłam, że Radio Wolna Europa wyróżniło jego „Losy pasierbów” po „Kazachstańskich nocach” Naglerowej i „Kontynentach” Miłosza.

Z jakim wdziękiem słów odpisał mi z pewną pozą na skromność (z którą mu było tak do twarzy):

„Ot znaczy się oni tam w Monachium nader uprzejmi byli”.

Po ogłoszeniu mojego o nim felietonu w „Wiadomościach” pisał:

„Droga Pani Janeczka. Od całego serca dziękuję za przepiękny artykuł. Każdy ustęp przemyślny. Każde słowoważone. Słom mi brakuje do wyrażenia tego, co czuję w tej chwili do Pani za tyle

szablon: gładkie ogólniki, naiwny patos, oklepane prawdy — nie czując ile w tym wszystkim było świeżości uczuć.

Więc przepychał się nieraz latem, w swoim Carlos Paz, poprzez polski tłum emigracyjny. Czasem znajdował w nim serdecznych przyjaciół, jak Jerzy Waszczyński, inżynier i poeta; jak Wacławowie Kozłowsy — on działacz emigracyjny i wydawca „Kurieru Polskiego”, obecnie już nie-żyjący; jak oboje Surynowie.

Ale reszta to tłum „brydżograjów” — tak ich nazywał, trochę uogólniając, trochę krzywdząc i niedocenając ludzi kulturalnych i wykształconych, którzy lubili od czasu do czasu usiąść do zielonego stolika. Niechęć ta z pewnością była spowodowana głęboko ukrytym kompleksem niższości (nie tyle socjalnej, co braku wykształcenia). Pisał mi: „Rozczarowanie do ludzi sprawia nieraz większą boleść od śmierci”.

Pocieszali go krytycy: Pawlikowski, Wańkowicz, Czapski, Sakowski, Czapka i listy Józefa Wittlina.

O SMUTKACH I RADOŚCI Z „CHŁOPCÓW Z NOWOSZYSEK”

Żle się wiodło panu Florianowi w 1963 roku. Choroba wyczerpywała. Nocą astma nie dawała spać, a dniem odbierała chęć i siły do pracy w ogrodzie. Wysoki i ogorzały od słońca — przybladł i pochylił się. Tyle lat noszenia polci zamrożonego mięsa na ramieniu odzywało się chorobą płuc. Poza tym nowa powieść — owa „Pryma” nie znajdowała wydawcy i na leczenie brakło pieniędzy. „Czas jest niedobry” — pisał. — „Schudłem bardzo i poza koniecznymi listami nic nie piszę”.

I naraz w styczniu 1964 roku radosny list:

„Czuje się o wiele lepiej. I domek na lato wynajmę i będzie na zakup lekarstw”.

Ale największą radością byli „Chłopcy z Nowoszy-szek”. Pisał

„Książka zgrabny format ma. 170 piękny druk. Dobry papier. I piękną okładkę. Podobno Bzyszewski i Czapka dobre recenzje napisa-
li”.

Uroczą książką, ta ostatnia — rozśpiewana i kwietna. Pachnie wiosną. Chłopcy w niej chodzą na kośbę w stareńkich samodziłach. Niemożny temat wielkiej miłości lśni od rosy. I cały banal odnajduje w tej książce — jakby powiedział Czapski — „swoją dzie-
wiczność i urok odradzający”.

„Chłopcy z Nowoszy-szek” — opowieść o kmicicowym Doniaczce i rozśpiewanej Wincuśce — byli ostatnią radością autora. Dziękował za ich wydanie nie tylko dyrektorowi Sakowskiemu, ale przede wszystkim Bożeczce Mileńkiemu i Mataczce Świętej.

ŚMIERĆ

lat później, w roku 1953.

Czarnyszewicz pisał „Nadbereżyńców“ pracując jako robotnik we „frigorifico“, t.j. w chłodni. Był to wielki talent samorodny, jak Morcinka, Młodożeńca, Burka, Piaseckiego, czy naszego wielkiego Reymonta.

A więc tam, w hotelu „Madrid“ na avenidzie 25 de Mayo zapadł wyrok, że „Nadbereżyńcy“ ukażą się w druku.

Książka długo nie dawała znać o sobie. Czasy nie były po temu. Dużo później, w przedmowach do dalszych tomów: do „Wicika żywego“ i do „Łosów pasierbów“, w przedmowach do tych książek Melchior Wańkowicz i Józef Czapski nawracali ku „Nadbereżyńcom“, ku zawartym w tej książce problemom. Nawracali do tej „wielkiej książki“, stojącej bezspornie wyżej od dwóch następnych.

„Nadbereżyńcy“ — to słodycz i gorycz wspomnień Czarnyszewicza, człowieka zbuntowanego w trosce o współzycie Polaków z Białorusinami. Może nie tyle o współzycie narodowościowe, co społeczne. Przemawia przez niego „pasierb Polski“.

Nie zdaje mi się, aby Wańkowicz miał rację, mówiąc o skromności Czarnyszewicza. Wprost przeciwnie. W Czarnyszewiczu siedział szlachcic zagrodowy, dumny z klejnotu, chociaż język i obyczaj miał chłopiski, białoruski, prasłowiański. Szlachcic całą duszą przywarł do polskości i zrażony do polskich hrabiów — Lubuskich; do drobnej szlachty — Iwińskich i do biurokratycznych Sukindorfów, trzymających stronę obszarników. (Nazwiska bohaterów jego powieści).

Nie zapominajmy, że Czarnyszewicz szedł z ludem roboczym, że nie tyle drażniły go tarcia polsko-białoruskie, co nieuczciwe metody panów, którzy dbali o nie-tykalność swoich majątków.

W przedświatu wyraźnie pisze: „Nie za burżujów idziemy“.

Czy nie jest dziwne, że ten rozżalony człowiek zwraca się z prośbą o przedmowy do Wańkowicza i Czapskiego? Jest w tym zwróceniu się wyróżnienie nie tylko ko znanych i sławnych autorów, ale wybór eks-ziemian, magnatów, obszarników.

Tak chłopak z Nadbereżyńców z Puszczy Szabyńskiej, z wykrotów Słobódki zwraca się do Wańkowicza na Kałuzu — niech odprawi spowiedź publiczną, niech się pokaja za to, że był za słaby, aby „wytworzyć w sobie szlachetne podejście do zagadnień otrzymanych w spadku historii“.

Gdzie prawda, a gdzie klamstwo? Znamy przecież wszyscy opis grabieży dworu Wańkowiczów przez ludność, której dwór służył opieką najserdeczniejszą.

Ale Wańkowiczowi te wspomnienia nie były na rękę, więc tylko dalej o tej przyjaźni z poetą białoruskim Michasiem Maszarą i o tym przekradaniu się do „Hromady“ zarosłymi ścieżkami. Rozmawiałam na ten temat z Czarnyszewiczem.

„Rady ludowe“ założone były przez Polaków w 1920 roku, za późno — budziły niewiarę w elementach białoruskich. Budziły niewiarę w Czarnyszewiczu do końca jego życia. Więc bunt. Bo „bunt szlachcie nie nowość“ — pisał.

Inaczej ustosunkował się Czarnyszewicz w rozmowach ze mną do przedmowy Czapskiego. Czapskiemu ufał. Miał instynkt niezawodny w stosunkach z ludźmi. Cenił sobie Czapskiego pochwały: „Dar oddania charakterów, przyrody, wymowy uczuć“. Mówił o tym szlacheckim „zaduśaniu wobec świata nowych idei“. Powtarzał to za Czapskim. Zresztą „Łosy pasierbów“ nie budziły tych spornych kwestii, co dwie poprzednie książki. W „Nadbereżyńcach“ i „Wiciku żywym“ Czarnyszewicz jako Białorusin czuł się obywatelom drugiej klasy, pasierbem Polski, który z chęcią naiwnego patosu tylokrotnie chciał w swoich książkach za tę Polskę umrzeć. W „Łosach pasierbów“ Czarnyszewicz, przywarł do polskości, chętnie powtarzał frazes: „Kab taja kochan naja Polscza wiernułasja, tak myb jaje rozcałowali“.

(Ach, jaka muzyka była w języku pana Floriana, jaka śpiewność).

Więc w „Łosach pasierbów“ żale już są zwrócone nie w naszą stronę. Możemy ich słuchać z lepszym sercem, kiedy emigrant szukający chleba widzi panowanie pieniądza i zupełnej bezkarności; kiedy „pasierb Polski“, rzucony w daleki świat, przeżywa emigracyjne perypetie w dalekich „campach“, fabrykach i „frigorifico“ Argentyny.

O Dance czytającej kantyczki pisze Czapski:

„Czysty diament przeżyć pełnych, ząbionych o sprawy wieczne“

O całej książce:

„Istnienia, które można uczyć i pokochać“.

Jakże pan Florian słowa tej przedmowy przyciskał do serca. Jaką mu były radością.

DOM PANA FLORIANA W CARLOS PAZ

Pobudował się nad samym jeziorem San Roque. Na zielonym wzgórzu. Cegła po cegle stawiał ten domek. Obramował go białymi płaszczynami i nakrył czerwoną dachówką.

W ogródku georginie, malwy, słoneczniki, nasturcje. Oszałała od barw nostalgia, przecięta symetrycznie strzelistymi tujami emigracyjnej przyrody. Czarnyszewicz czuł piękno. Jego opis lasu mieszanego polskiej brzozy, z jodłą białoruską popłatanej, zrosłej starymi korzeniami ze sobą, nie tylko jest symbolem, ale i czułą miłością dla drzew.

Ten człowiek, który pół życia przepracował jako „foreman“ w

potem „Chłopców z Nowoszyzszek“, stało pod samym oknem. Widok z tego okna miał piękny na sąsiednie wzgórza, nocą rozbłysły światłami domów; na błękitne jezioro, nocą drżące od gwiazd w nim odbitych; na kwiaty ogrodu.

O tym widoku tak mi pan Florian pisał w liście:

„Z okna domu piękny widok, ale głowa zawsze w kłopotach, a serce w smutku. Uciekam od niego snuciem nowej rzeczy. Nie przedko ją ukończę, a już mnie martwi kłopot szukania przyszłego wydawcy“. (Mowa tu jest o „Prymie“, którego tytuł zmienił dyrektor Sakowski na „Chłopców z Nowoszyzszek“). Przewidywania się sprawdziły, bo dobra pani Maria Czapka długo szukała wydawcy dla tej książki, zanim Polska Fundacja Kulturalna nie zechciała jej wydać tak estetycznie.

Sprawy wydawnicze, recenzje, twórczość — to był jego świat, do którego uciekał od życia pełnego kłopotów i ludzkiego niezrozumienia. Pamiętam, jak się cieszył, kiedy mu doniosłam, że Radio Wolna Europa wyróżniło jego „Łosy pasierbów“ po „Kazachstańskich nocach“ Naglerowej i „Kontynentach“ Miłosza.

Z jakim wdziękiem słów odpisał mi z pewną pozą na skromność (z którą mu było tak do twarzy):

„Ot znaczy się oni tam w Monachium nader uprzejmi byli“.

Po ogłoszeniu mojego o nim felietonu w „Wiadomościach“ pisał:

„Droga Pani Janeczka. Od całego serca dziękuję za przepiękny artykuł. Każdy ustęp przemyślny. Każde słowo zważone. Słów mi brakuje do wyrażenia tego, co czuję w tej chwili do Pani za tyle dobroci“.

CZŁOWIEK

Nie pamiętam kto powiedział, że człowiek delikatny nie potrzebuje znajomości form towarzyskich, ani t.zw. „dobrego wychowania“. To można było zastosować do Czarnyszewicza. Mógł służyć za wzór niejednemu emigracyjnemu inteligentowi w prowadzeniu dyskusji. Nigdy nie zaciełtrzewiony, ani chamski, a zawsze mocno broniący swoich przekonań religijnych i patriotycznych. Myślę, że umierając modlił się najprostszymi słowami, jak Niechcic w książce Dąbrowskiej „Dnie i noce“ Bolało go zawsze czyjeś ateistyczne przekonanie.

— Jak tak można? — żalił się do mnie. — Jak tak można?

Nie uznawał też gonitwy za grozem, chociaż żyło mu się ciężko z marnej emeryturki i rzadkich honorariów autorskich oraz odnajmowania domku letnikom z Kordoby na lato. Nie miał na leczenie, na pomoc przy budowie domu czy uprawie ogrodu, mimo to dziwił się ludziom, którzy tyle wagi przywiązywali do majątku. Pisał: „Jak tak można o te marności zadbać?“

Czuł się bardzo sam, chociaż kochał go ludzie. Ci z dalekiej Avellanedy, którzy razem z nim społecznie pracowali. I cenili go ci z Polonii kordobskiej. Czuł się sam. Nie bardzo zrozumiany przez robotników, ponad których wyrósł. Niedoceniony przez t.zw. inteligentów, którzy mu zarzucali

Z NOWOSZYSZEK“

Żle się widło panu Florianowi w 1963 roku. Choroba wyczerpywała. Nocą astma nie dawała spać, a dniem odbierała chęć i siły do pracy w ogrodzie. Wysoki i ogorzały od słońca — przybladł i pochylił się. Tyle lat noszenia polci zamrożonego mięsa na ramieniu odżywało się chorobą płuc. Poza tym nowa powieść — owa „Pryma“ nie znajdowała wydawcy i na leczenie brakło pieniędzy. „Czas jest niedobry“ — pisał. — „Schudłem bardzo i poza koniecznymi listami nie nie piszę“.

I naraz w styczniu 1964 roku radosny list:

„Czuję się o wiele lepiej. I domek na lato wynajęłam i będzie na zakup lekarstw“.

Ale największą radością byli „Chłopczy z Nowoszyzszek“. Pisał uciechony:

„Książka zgrabny format ma. I piękny druk. Dobry papier. I piękną okładkę. Podobno Zbyszewskiej i Czapka dobre recenzje napisały“.

Uroczą książką, ta ostatnia — rozśpiewana i kwietna. Pachnie wiosną. Chłopcy w niej chodzą na kośbę w starożytnych samodziłach. Niemodny temat wielkiej miłości lśni od rosy. I cały banał odnajduje w tej książce — jakby powiedział Czapski — „swoją dziełność i urok odradzający“. Jest w tej książce tyle niepokoju, wzruszenia i niepewności, co w całym życiu pana Floriana.

„Chłopczy z Nowoszyzszek“ — opowieść o kmicowym Doniacze i rozśpiewanej Wincuśce — był ostatnią radością autora. Dziękował za ich wydanie nie tylko dyrektorowi Sakowskiemu, ale przede wszystkim Bożeczce Mileńskiemu i Mataczce Świętej.

ŚMIERĆ

Niektóre recenzje były już kwiatami na trumnę. Realne, ciężkie życie, rozteknięte za ziemią nadbereżyńską — dobiegało końca.

Już bardzo się męczył. I sam pisać nie mógł. Dostałam na dwa dni przed śmiercią list od córki, od panny Władzi. Pisała:

„Tatuszkaż powiedzieć, że o ile z tej choroby się wygrzebie, to napisze do pani“.

Nie napisał już.

Miał bardzo piękny pogrzeb. Zjechali z Buenos Aires starzy przyjaciele z Berisso i Avellanedy. Działacze polityczni i społeczni, na czele z prezesem z Kordoby. I prowadził kondukt żałobny ks. Łuszecki z Buenos Aires. Przemówienia nad grobem były krótkie i rzewne.

Składki na wystawienie nagrobka posypały się z całej Argentyny. Pamięć o panu Florianie żywym nie wygasa. Książki jego są wciąż czytane nie tylko w Londynie, ale i w sklepionych z blachy domkach Avellanedy. A przyjaźń ludzka otacza niedawno wystawiony pomnik. Ta przyjaźń, która sobie cenił ponad wszystko, cytując rosyjskie przysłowia:

„Od pieniędzy w życiu więcej warta jest przyjaźń“.

CZYTAJ I
ROZPOWSZECHNIAJ
„TYDZIEŃ POLSKI“

NAJWIĘKSZY WYBÓR KOŁDER

watowanych, wełnianych te-
rylenowych, puchowych ko-
pert na koldry, poduszki
puchu pierza, wysp pierzo-
wycn itp.

LIMBA TRADING
Co. Ltd.

230 Brompton Road
London, S.W.3.
Tel KEN 0335

Polacy nad jeziorem San Roque

GRINGO

Za szybą orosiały cud. Nieprawdopodobna zielen łąki. Hiszpański „chalet” zachwyca koronką żelaznych krat, spoza których bucha przepych kwiatów nalanych purpurą i prześwieconych słońcem. W dole jezioro. Woda szeroko rozlana poznaczona skrzydłami żagli. Jeden żagiel jest

i lewo, wkręcają w serpentyny i „prują” do własnego emigranckiego domu, który musi stanowić dla „gringa” kawałek ojczyzny, surogat kraju, t.zw. „la patria chica”.

POLACY W CARLOS PAZ

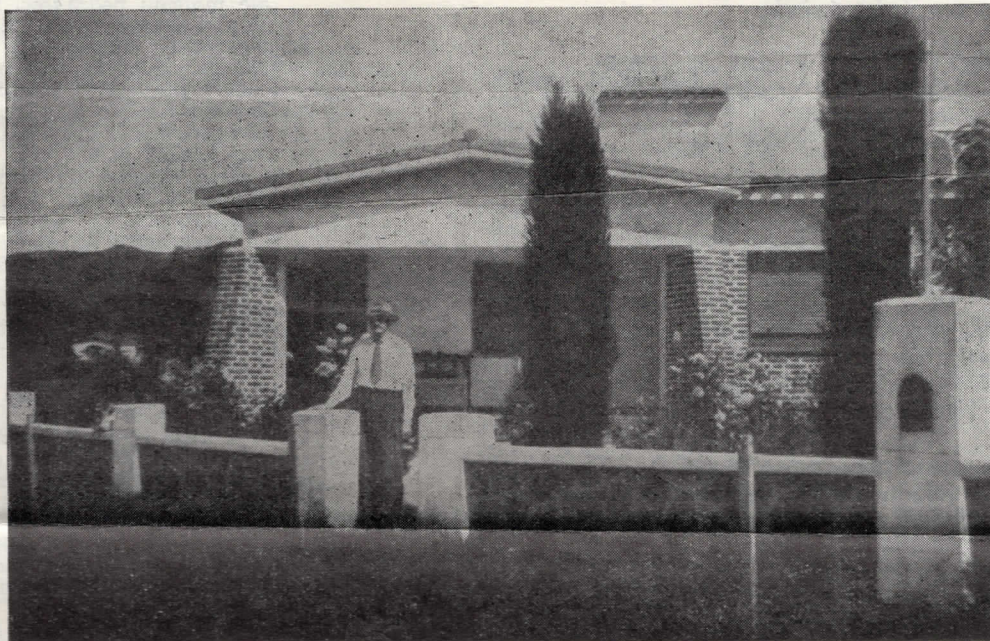
Polski dom w Carlos Paz nie ma „porch”u, tylko „ganeczek”. A ten

przy szyfrach, aż po piękną Induskę, pochyloną nad fortepianem.

Polacy. Mają w Cordobie swój Dom Polski. I mają w Santa Catalina obóz harcerski, skąd dochodzi po rosie głos trąbki i hymn narodowy.

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

Czarnyszewicz pobudował się nad



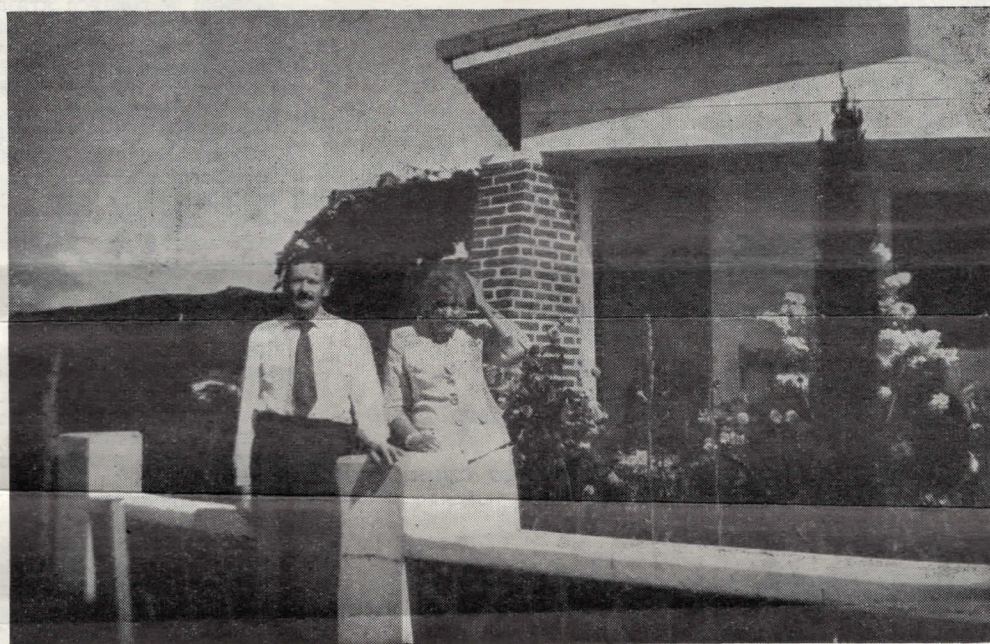
Florian Czarnyszewicz na tle swojej willi

biały, wygięty i bliski; drugi różowy, daleki i skośnie nachylony ku błękitnej wodzie. Na przeciwnym brzegu zalesione wzgórza. To Sierras de Cordoba.

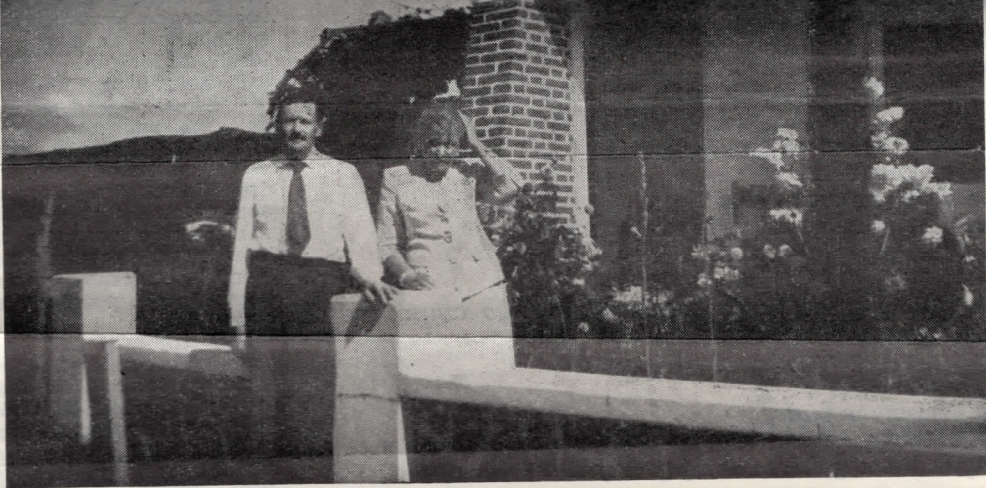
Tło dla siedzib emigrantów, których Argentyniczki nazywa: Europejczy, cudzoziemcy lub „gringo”. W

ganeczek nie jest wsparty na kolumnach czy filarach, ale na „siupkach”. Niby coś jak dworek. Zamiast gontu — czerwona dachówka. Poza domem sad, gdzie rosną śliwy, grusze i jabłonie. Nie ma mowy o pomarańczach i cytrynach. Od frontu ogródek kwiatowy, nie brak georginii, malw, sło-

samym jeziorem San Roque, na zielonym wzgórzu. Domek jego weseli się czerwoną dachówką i cegłą ścian, obramowanych białymi płaszczyznami. Dom ten był ciężko stawiany cegła po cegle, trudem emigracyjnych lat. W ogródku nasiada pani Stasia kwiatków. Barwią się wszystkimi ko-



Florian Czarnyszewicz i Janina Surynowa-Wyczółkowska



Florian Czarnyszewicz i Janina Surynowa-Wyczółkowska

ocenie przeważa pierwiastek emocjonalny: życzliwość i współczucie dla romantyzmu przeszłości wojennej i podziw dla kultury i wykształcenia, lub zazdrość i niechęć spowodowana kompleksem niższości. Nigdy w ocenie nie zaważy praktyczny rozsądek:

— Znają się na rzeczy i umieją pracować. Mogą się przydać.

Więc „gringo” w Cumbre buduje austerie, hotele, baseny wyłożone mozaiką i dorabia się szybko — to Anglik. Domek stawia seryjny z wykuszem, szalowany pod spiczastym daszkiem, jakby przeniesiony ze Streatham Common. Albo kolonialny, afrykański bungalow. Czasem z cegły oplecionej bluszczem, jak na starej Great Peter Street. Dużo tradycji, mało inwencji. I wokoło żywopłot zapewniający „splendid isolation”. Ale Anglicy prędko przestają należeć do „gringów”. Żenią się z Argentyńkami łatwo. Dzieci ich nie mówią już po angielsku, a wnuki po brytyjskim dziaćku zachowują jedynie niebieskie oczy i nazwisko którego nie będą już umiały wymówić. Anglik lubi wygodę i unika komplikacji.

Falda i Cosquin, to mieszanica środkowoeuropejska.

Rio Ceballos upodobał sobie Niemcy. Wesołe „Frauen” czyszczą i sprzątają małe domeczki (niezmiernie gemütlich), lub zasobne wille, przeniesione z Westfalii, Szlezewigu, z lasów Turyngii czy znad brzegów Elby. Niemcy za granicą są mili. Można ich polubić, szczerze się z nimi zaprzyjaźnić i kulturalnie porozumieć... (o ile nie mają w rodzie kogós, kto zginął w Warszawie, nocą, w mundurze SS).

W Carlos Paz rozsiedli się szeroko Polacy. Domy ich wyrósł z zielonej murawy, niby muchomory po deszczu, wśród choin, jak na Mazurach czy pod Krakowem.

Wśród tych osiedli leży Cordoba, naśladując stare miasto hiszpańskie. Złocą się mury pojezuickiej katedry i uniwersytetu, a ruch współczesnego życia z trudem wtłacza się w kręte i ciasne uliczki, pamiętające czasy kolonialne.

Więc nie dziw że na wąskich chodnikach Ameryka z Europy depcze sobie wesoło po piętach. A na jezdni maska luksusowego Cadillac’a stukta w przyczepkę ciężarówki typu Sedan Rural. Europejczyk pracujący w Cordobie, w jej fabrykach czy zakładach, albo kształcący się na jej uniwersytecie, po godzinach pracy daje nurka w chłód i świeżość zielonych dolin. Wielkie autobusy, ciężarówki fabryczne i samochody prywatne rozpryskują się po lśniących drogach na prawo

nieczników i nasturcji. Trawniki przypominają darni leśną, czernieją tam stożkowate świerki, pachnie toto lasem, igliwem, grzybami i raduje oczy opadająca szyszka.

Jeżeli dom się wybuduje z myślą o założeniu pensjonatu, nazwę mu się nada „Ojo del Mar (Morskie Oko)”. Albo jeszcze lepiej: „Aguila (Orzeł)”. W hallu czy na osłoniętej pnąciami werandzie zawiesi się obrazki Stryjeńskiej albo białego orla na czerwonej tarczy a nad kominkiem pasyjke. Na gzymsiku kominka fotografie chłopców. Tego jednego, który jest w Kraju i którego się już nigdy nie zobaczy. I tego drugiego, który zginął w powstaniu.

Ze wszystkich krańców Argentyny zjeżdżają się tu Polacy. Radość życia, aż kipi od kawałów, od tężyzny wykapanie w jeziorze i ogorzałej na słońcu. Ten barszcz! Oczywiście! I te kurczęta w sosie koperkowym!

I wycieczki motorówką, żaglówką, na osle, drukótką, konno czy kolejką linową zawieszoną na nitce w powietrzu.

Okazuje się, w rozmowie, że ta pani „przeszła” przez Rosję. Że oni latali w Anglii. Ten wysoki blondas był commandosem, ja cały czas „siedziałam” w Warszawie, a tamci znowu są z 2-go Korpusu.

Kiedy gwiazdy i światła na wzgórzach odbijają się w jeziorze San Roque ludziom zaczyna ciążyć tragikomedie emigracji. Wśród rechotania żab i owierkania świerszczy ten i ów coś głądzi i nudzi. Opowiada rzeczy znane i ograne po raz dziesiąty i setny. I zagnia ktoś wzrusza. Tak prosto się mówi o tym że trzeba dla Stasia, dla synka, zachować na pamiątkę commandosowskie rękawice ojca. Czarne, wytarte od stena i popękane. Zamiast Virtuti, które zginęło podczas przeprawy przez ocean.

W Carlos Paz i tu i tam słychać mowę polską. W barze właściciel, który przynosi Coca Colę, mówi po polsku. I sędzia, co mieszka na Yrigoyen, jest Polakiem. Zakochany w przyrodzie i w książkach, czuje się bliski Vincenzowi z rodzinnego Pokucia. Jego filozofia życia pozwala mu znieść pracę przy zakładaniu czy wyrabianiu rur kanalizacyjnych.

Dwóch inżynierów mieszka nad samym jeziorem. Wstają do pracy o 5-ej rano. Jeden nocą pisuje fachowe artykuły do prasy północnoamerykańskiej. Drugi wyżywa się w robieniu wynalazków, z których niejeden znajduje zastosowanie.

Żony Polaków nad jeziorem San Roque przedstawiają zadziwiającą różnorodność. Począwszy od pani, która w 2-m Korpusie pracowała

lorami tęczy. Kilka strzelistych tuł przecina symetrycznie dom.

Burko pana Floriana, przy którym napisał „Losy pasierbów”, stoi pod oknem. Gdy oderwie oczy od szeregiem stawianych liter, ma widok, niby książę Monaco, ze swej sypialni: na wzgórze przeciwnego brzegu, na kwiaty i na błękitne niebo. Na ten widok zasłużył sobie Czarnyszewicz na stare, zemerytowane lata, tak jak zasłużył sobie na przedmowę do swojej książki pióra Józefa Czapskiego.

Kiedy byłem w Carlos Paz, pan Florian nic jeszcze nie wiedział że Radio Wolna Europa w Monachium, w dyskusji poświęconej przeglądowi produkcji wydawniczej na emigracji za r. 1958, za najlepszą książkę emigracyjną uznało po „Kazachstańskich nocach” Naglerowej i „Kontynentach” Miłosza jego „Losy pasierbów”.

Wyobrażam sobie że pan Florian ucieszy się tą wiadomością. A może zakrzyknie: „Nie może być, paniczka, żeby oni to uczynili — a po chwili może dodać z uśmiechem: — Ot znaczy się oni tam w Monachium nader uprzejmi byli”...

A pani Stasia niebieskie oczy szeroko otworzy i z powątpiewaniem pokręci głową: „Chyba tam oni w tych londyńskich „Wiadomościach” coś breszą”...

W domu nad jeziorem jesteśmy oboje z mężem ogarnięci serdeczną i niezwykle gościnną atmosferą. Pani domu białym obrusikiem stół nakrywa i wnet ogóreczki małosolne i serrek biały na stół niesie. Także samo likier — małmazję — i truskawki z ogródka własnego podawczy.

O czym mowa przy stole?

O Kraju że tam jeden ciemnieza na drugiego zamieniwszy się. I nie wiadomo, jakie tam u nich porządki teraz, paniczka, ach, paniczka! Córka nie bierze w rozmowie udziału. W latach wojny na ochotniczkę do Anglii pojechała, do W.A.A.F. wstąpiła. Ale po czterech latach wróciła rozczarowana. Nie tak sobie wyobrażała pracę dla ojczyzny.

Panna Władzia nie bierze udziału w rozmowie, choć jej wymowne oczy i z lekka ironiczne usta świadczą że niejedno miałaby do powiedzenia.

Zegnamy pana Floriana i jego gościnnie progi. Dostaje „Losy pasierbów” z wylewną dedykacją i słoiczek przednich konfitur.

Srebrzy się woda jeziora San Roque, zalatuje od łąki skoszonym sianem, a spoza kwiatów dobiega wołanie pani Stasi:

— A my tu mówili z mężem jak miło jest spotkać polskich ludzi!

Janina Surynowa-Wyczółkowska.